WTOREK Nr 88 21 IX 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

KONKURS FOTOGRAFICZNY SOBÓTKI

NAGRODA I ROBERT SZABŁOWSKI – Nowy Sącz

pozostałe nagrodzone fotografie prezentujemy na str. 3

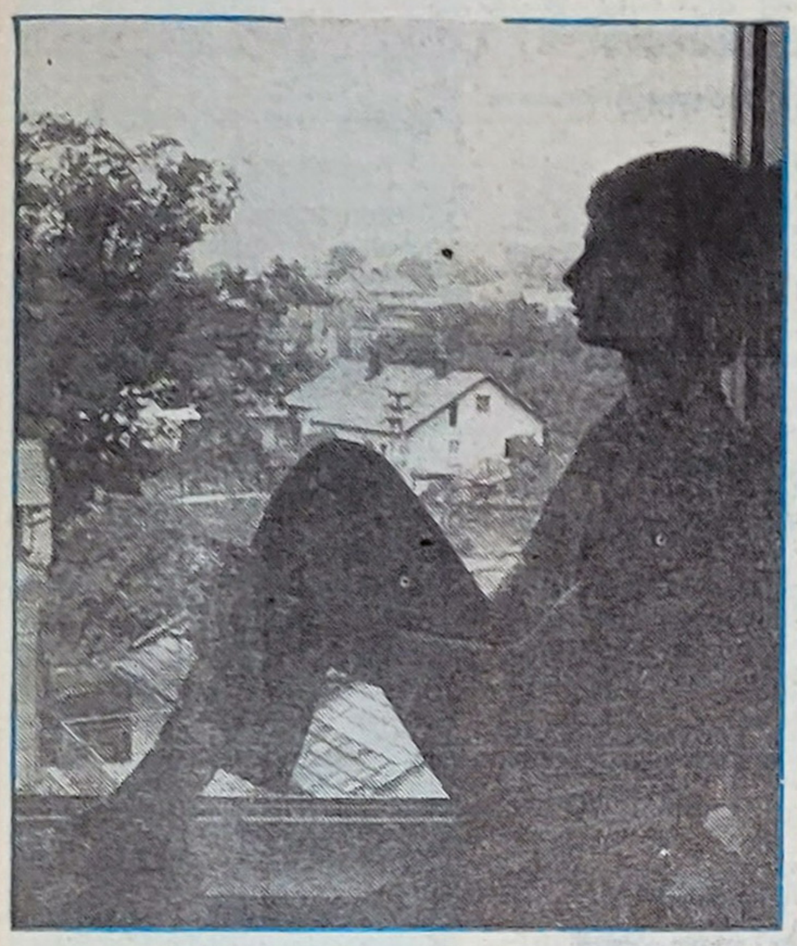

O kraju, w którym prawie wszyscy są myśliwymi – czytajcie na str. 5. Na zdjęciu syberyski sobol. Fot.: Janusz Fogler

---

Po ośmiu latach gromadzenia materiałów, dwóch latach pisania i jeszcze dwóch – zabiegów wydawniczych, ukazała się na rynku książka dr. Piotra Stachiewicza pt. „Parasol". Dziś w numerze pierwsza część wywiadu z autorem na str. 3–4 Fot. M. Zieleniewska

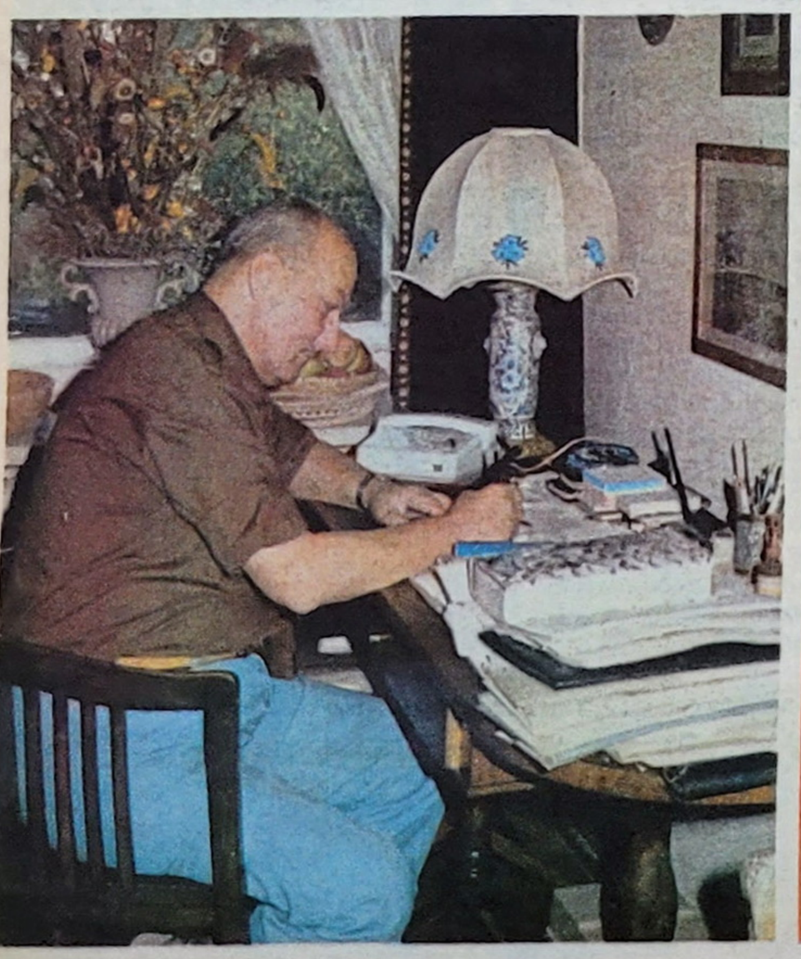

● Tu Liga Reporterów ● Tu Liga Reporterów ● Tu Liga Reporterów ● Tu Liga Reporterów ●

Czy już wiesz jak brzmi hasło na reportaż do LR? Przygotowałeś już kartkę papieru i długopis?

REPORTER Świata Młodych

RODZINA I JA

jest aktualnym tematem na Twoją wypowiedź do „Świata Młodych". Przypominam pytania szczegółowe.

Czy rodzina z jakiej pochodzisz odpowiada modelowi życia o jakim marzysz? Skąd z jakiego środowiska i regionu kraju wywodzą się Twoi rodzice? Jakie jest ich przygotowanie zawodowe i charakter pracy jaką wykonują? Które z rodziców i dlaczego ma większy autorytet, a kogo obdarzasz większym zaufaniem? Jak są podzielone i czy według Twojej oceny sprawiedliwie – obowiązki domowe? Jaki jest w nich Twój udział?

Jak w gronie rodzinnym spędzasz wolny czas i jakie są najważniejsze cele, do których Twoja rodzina zmierza; jakie ma potrzeby?

Co się Tobie nie podoba w obyczajach Twojej rodziny i do czego nie dopuścisz w przyszłości zakładając własną rodzinę?

Czekam na Twój list!

SZEF
Ligi Reporterów

P.S. Na kopercie oprócz adresu dopisz hasło **Rodzina i Ja**.

LATO Z KOMARAMI

Jeżeli chcecie wiedzieć jak brzmi ta piosenka, śpiewana przez zespół „A propos" z Ełku podczas tegorocznego Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach – słuchajcie w najbliższą niedzielę, 26.IX. o godz. 15.00 w programie II Polskiego Radia Magazynu Rozgłośni Harcerskiej, wznowionego na antenie po 9-miesięcznej przerwie.

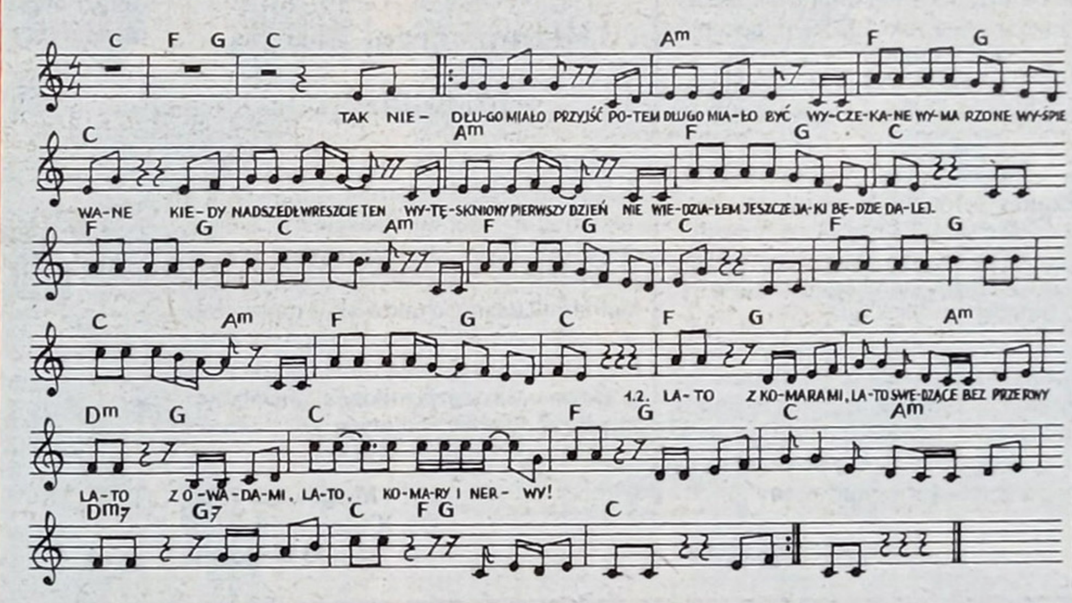

Tak niedługo miało przyjść,
potem długo miało być,
wyczekane, wymarzone, wyśpiewane.
Kiedy nadszedł wreszcie ten
wytęskniony pierwszy dzień
nie wiedziałem jeszcze jaki będzie dalej.
Siedem minut spóźnił się
pociąg, który przywiózł mnie,
a gdy namiot wreszcie stanął nad jeziorem
zrozumiałam wtedy że
coś mnie gryzie, coś mnie je
nie zważając na pogodę i na wolę.

Ref. Lato z komarami,
lato swędzące bez przerwy,
lato z owadami,
lato, komary i nerwy! (bis)
Miał być spokój, miał być czas,
śpimy razem pierwszy raz,
na wakacjach pod namiotem całkiem sami.
Ważne przejścia miały być,
nasze noce, nasze dni
zagubione gdzieś pomiędzy jeziorami.
A więc witamina B, owadosol i te de,
a gdy walka wkrótce stała się koszmarem,
gdy zwijałem namiot swój,
obok mnie komarów rój
pobzykiwał turystyczne pieśni stare.

Ref. (bis)

UWAŻAJ, COŚ JEDZIE!

– to hasło naszego nowego konkursu ze znajomości przepisów drogowych

Nasz konkurs, mamy nadzieję, przypomni Wam choć trochę przepisy drogowe, zasady udziału w ruchu ulicznym. Może ta wiedza przyda się praktycznie Wam, Waszym kolegom i rodzeństwu. Oby tak było!

Zapraszamy wszystkich chętnych do udziału w konkursie (nie jest trudny), bo to przecież również zabawa i sprawdzian – pożyteczna zabawa! Czekamy na jak najwięcej prawidłowych rozwiązań i z radością przystąpimy do losowania nagród.

REDAKCJA

REGULAMIN KONKURSU

1. Każdy z odcinków naszego konkursu składa się z dwóch części: przypomnienia przepisów i obowiązujących zachowań w określonych sytuacjach i zadania konkursowego – do rozwiązania.
2. W konkursie mogą uczestniczyć dziewczęta i chłopcy do lat 16, którzy po wydrukowaniu wszystkich 18 zadań przyślą na adres: „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 01-561 Warszawa prawidłowe odpowiedzi.
3. Począwszy od dnia 23 września br. będziemy drukować składające się z dwóch części zadania konkursowe. Należy więc zbierać kolejne odcinki, a po zakończeniu konkursu liczącego 18 odcinków na karcie pocztowej przesłać rozwiązania na adres redakcji z dopiskiem: „Uważaj – coś jedzie!".
4. Wśród uczestników konkursu, którzy prawidłowo rozwiążą co najmniej 15 z 18 opublikowanych zestawów pytań, rozlosujemy nagrody rzeczowe.
5. W skład jury konkursu wchodzą przedstawiciele Komendy Głównej MO, Centrali PZU oraz redakcji.

Obycie ułatwia życie, lub jak sobie radzić

LILKA JEST PRAKTYCZNA

Mam 13 lat i jestem stałą czytelniczką „Świata Młodych". Mimo że w ostatnim czasie ta lubiana przeze mnie gazeta sporo podrożała, staram się znaleźć parę złotych, aby ją kupić. Muszę przyznać, iż najbardziej lubię czytać „Redakcyjną Pocztę", ale nie tylko. Interesują mnie przepisy na różnego rodzaju potrawy, moda, wiadomości na temat zdrowia, urody oraz różne porady. Mam założony zeszyt, w którym te informacje umieszczam. Pomysł z zeszytem chcę podsunąć przede wszystkim dziewczętom, gdyż przyda się on nie tylko teraz, ale również na przyszłość. Chciałam również prosić redakcję, by w „ŚM" było więcej tego rodzaju informacji. Na zakończenie podaję moim rówieśnikom kilka rad.

Przepis na lody śmietankowe: robimy je z 5 żółtek ubitych z 5 łyżkami cukru. Do masy dodajemy 3 łyżki słodkiej śmietanki. Oddzielnie gotujemy 1/2 litra mleka z wanilią. Bardzo powoli wlewamy gorące mleko do żółtek, mieszamy dokładnie, aż masa zgęstnieje. Ostudzoną odstawiamy do lodówki, aby całkowicie wystygła. Masę wlewamy do pojemnika na kostki do lodu i zamrażamy w lodówce przez 2 godziny. Możemy otrzymać lody w różnych smakach w zależności od tego czy dodamy kakao (2 łyżki), kawę (2 łyżki „Marago"), czekoladę lub orzechy.

Warto wiedzieć że... świeże plamy z atramentu można usunąć przez zanurzenie tkaniny w kwaśnym mleku, następnie pierzemy ją w wodzie. **Aby przedłużyć „żywot"** rajstop czy pończoch, należy przed pierwszym nałożeniem pozostawić je na parę godzin w bardzo zimnej wodzie. **Aby odświeżyć torebkę** lub pasek ze skórki, należy przetrzeć je przekrojoną cebulą lub tamponem waty zwilżonym w surowym mleku.

Lilka z Wrocławia

Do głowy by mi nie przyszło

KLASA O PROFILU ROZWLEKŁYM I POSKRĘCANYM

Marysia Ziółko uczęszczała do VII Liceum Nieogólnokształcącego im. Telesfora i Teodora w Warszawie. Chodziła do klasy o profilu rozwlekłym i poskręcanym, gdyż taki profil najbardziej jej odpowiadał. W szkole był również profil higienistyczny, ale on zupełnie Marysię nie interesował. Szkoła, do której uczęszczała, była inna od wszystkich szkół. Chodziła tu młodzież, która wzrostem sięgała drzwiom (od piecyka) i uwielbiała huśtać się na żyrandolach.

Właśnie zbliżał się koniec roku szkolnego i Marysia ubrana w strój galowy (tzn. sukienkę z worka po kartoflach, kalosze, granatową czapkę kominiarkę z zawiązaną pod brodą czerwoną, szeroką na pół metra kokardę(biegła do szkoły. Ledwo minęła próg szkoły i zmieszała się z tłumem galowo ubranych i huśtających się na lampach postaci, a w murach szkoły rozeszła się wieść, że zakończenie roku szkolnego odbędzie się wraz z rozpoczęciem następnego, ponieważ dyrektor, Michał Rüzlazły, zachorował. Uczniowie z wrażenia pospadali z lamp i posiadali na ziemi, czego nigdy nie robili, gdyż lekcje odbywały się na wisząco (taki był regulamin). Jeden ze spadających uczniów stłukł sobie rękę. W tej chwili podbiegły do niego pielęgniarki, aby opatrzyć ranę. Gdyby uczeń chorował musiałby opuścić na zawsze mury liceum imienia Telesfora i Teodora, gdyż nie miałby za co wisieć na żyrandolu. Co się stało z uczniem, nie wiem. Wiem natomiast, że Marysia Zióąko była bardzo przygnębiona zmianą terminu zakończenia roku. Ja osobiście nie dziwię się naszej miłej Marysi. Miała ona otrzymać z rąk samego dyrektora Michała Rozlazłego nagrodę, świadectwo i nakrapianą tarczę (najwyższe szkolne odznaczenie, nadawane wzorowym uczniom). Inni uczniowie również ze smutkiem rozeszli się do domów, aby wisząc na żyrandolach, i ocierając łzy poczekać w spokoju na zakończenie roku, które odbędzie się w innym terminie.

Gdyby nie ten konkurs, nigdy bym nikomu nic nie opowiedziała o tej dziwnej szkole, która naprawdę istnieje w moim rodzinnym mieście, Warszawie, bo wierzcie mi, ja sama do niej uczęszczam i jestem wzorowym „żyrandolowcem".

MAŁGORZATA P.

Kącik przyjaciół

Cenię sobie szczerość

Jestem przeciętnym chłopcem, chyba sympatycznym. Cenię sobie szczerość i pwadomówność. Interesuję się akwarystyką.

Artur Furga
ul. Sportowa 146/5
66–400 Gorzów Wielkopolski

Gram na akordeonie

Mam 13 lat, zbieram znaczki, widokówki, naklejki, piosenki. Interesuję się muzyką (gram na akordeonie), tańcem, sportem. Bardzo lubię zwierzęta.

Anna Bożek
Wydrza 138
39-410 Grębów

Zbieram pocztówki miast świata

Uczę się w liceum zawodowym. Interesuję się historią i geografią. Zbieram pocztówki miast świata. Lubię czytać książki o Dzikim Zachodzie i science fiction. Uczę się angielskiego i niemieckiego.

Marian Niewczas
ul. Jesienna 11
27–200 Starachowice

Humor raczej zawsze mi dopisuje

Skończyłam 14 lat, mam 163 cm wzrostu, brązowe oczy i ciemne, długie włosy. Jestem trochę leniwa, ciekawska i zwariowana, ale humor raczej zawsze mi dopisuje. Interesuję się muzyką rockową, językiem francuskim, a także lubię taniec. Moje ulubione zespoły to: Scorpions i Rolling Stones. Pasjonują mnie książki przygodowe oraz poezja miłosna. Chciałabym nawiązać korespondencję z osobami o podobnych zainteresowaniach.

Małgorzata Pacut
Oś. XX-lecia PRL 17/37
34–100 Wadowice

Kto ma kanarka niech do mnie napisze

Chciałabym korespondować z posiadaczem kanarka. Chętnie dowiedziałabym się czegoś o tym miłym ptaszku.

Lucyna Dufke
ul. Wrzosy 26a/10
80-618 Gdańsk

Jestem molem książkowym

Uwielbiam konie (mam ponad 200 widokówek z końmi), zbieram także widokówki psów i kotów. Bardzo lubię Izę Trojanowską i Beatlesów. Jestem molem książkowym.

Mariola Kaźmierczak
pl. Armii Czerwonej 13/6
95-035 Ozorków

Lubię sobie czasami pomarzyć

Mam 16 lat. Interesuję się modą, muzyką nowoczesną, sportem, filmem, teatrem, prozą. Zbieram książki, znaczki oraz wiadomości o zespole „Maanam" i o Izabeli Trojanowskiej. Próbuję także swoich umiejętności w pisaniu wierszy i opowiadań.

Jestem zwolenniczką wszelkiego rodzaju wycieczek. Poza tym lubię sobie czasami pomarzyć.

Bożena Krawczyk
ul. Kilińskiego 4
08-450 Łaskarzew

Zbieram przepisy kulinarne i wróżby

Mieszkam we wsi Majdan. Lubię język polski i matematykę. Uczę się bardzo dobrze. Zbieram widokówki ze zwierzętami, ptakami, kwiatami, a także przepisy kulinarne i wróżby. Kocham przyrodę.

Anna Daszuk
Majdan Wielki
22-554 Trzeszczany

REDAKCYJNA POCZTA

Pozornie mam wszystko, ale do szczęścia czegoś mi brak

Nigdy nie myślałam, że będę zmuszona do Was napisać. Jednak teraz mam ogromny problem. Marka poznałam na dyskotece, od razu mi się spodobał. Zaczęliśmy ze sobą chodzić, ale co to za chodzenie? Pierwsza mu wyznałam miłość – ja, ja wyciągałam go do kina czy na spacer, ja płaciłam w kawiarni lub fundowałam bilety. Wszystko ja, a on NIC. Wyczułam, że ostatnio mnie unika, ale gdy rozmawiam z innymi chłopakami obraża się. Marek uważa także, że powinnam mu dawać pieniądze, a ja daję, bo go kocham. Marek nie jest ósmym cudem świata, a ja natomiast (tak mówią inni) jestem ładną dziewczyną. Ubieram się modnie – dla niego. Wszystko robię, żeby mu zawrócić w głowie. Kiedyś, by zwrócić na siebie uwagę chciałam się otruć. Właściwie wszystko mam: urodę, powodzenie, ciuchy, ale nie nam jego. Dlaczego tak się dzieje?

Diana D.

Jestem inna

Jestem wesołą, koleżeńską, czasem troszeczkę złośliwą blondynką z niebieskimi oczami. Ale tak myślą o mnie tylko dziewczęta i chłopcy z bloku, z kolonii, z obozu. Inne zdanie mają koledzy i koleżanki ze szkoły. Dla nich jestem ponura, nie liczę się w ogóle w gronie klasowym. A to dlatego, że jestem inna. Nie umiem przezwyciężyć siebie, a raczej swojego charakteru. Jeżeli idę z koleżanką z bloku i po drodze gadamy jak najęte (bo trzeba dodać, że bardzo lubię rozmawiać) i spotkam kogoś z klasy, to język mi się plącze, od razu robię się czerwona i udaję ponurą. Błagam! Wydrukujcie mój list! Może uczniowie SP nr 3 w Dąbrowie Górniczej przeczytają go i zrozumieją, że ja też chcę być „kimś" wśród nich, a nie „czymś", jak to przez 7 lat bywało. Może ten 8 rok będzie szczęśliwszy. A może czytelnicy RP się wypowiedzą na ten temat.

Irmina

OD REDAKCJI: Irmino! Zastanów się dlaczego tak jest, że wśród szkolnych koleżanek i kolegów rumienisz się i nie możesz powiedzieć ani słowa. Myślimy, że jest jakaś przyczyna, z której Ty sama może jeszcze nie zdajesz sobie sprawy. Nie wydaje nam się, by to była nieśmiałość. Przecież wśród wakacyjnych przyjaciół jesteś wesołą, atrakcyjną dziewczyną. Dlaczego więc nie potrafisz przełamać swojej „inności" w stosunku do klasy? Spróbuj zachowywać się w klasie tak, jak zachowujesz się, gdy jesteś na wakacjach. Wtedy na pewno klasa Cię zaakceptuje.

(jn)

BIURO POD DZIAŁA

Poszukuję: HISTORII dla kl. VII – Jerzego Skowronka. Koszty przesyłki zwrócę.

JOLANTA BŁAŻEWICZ
ul. Partyzantów 7
KOLUSZKI 97-140

...FIZYKI DLA kl. VII. Wszelkie koszty przesyłki oraz książki pokryję.

AGNIESZKA NICKEL
ul. M. Magdaleny 5/4
POZNAŃ 61-861

...SŁOWNIKA POLSKO-NIEMIECKIEGO I NIEMIECKO-POLSKIEGO oraz wspomnień z obozów koncentracyjnych. Proszę o skontaktowanie się ze mną.

WIESŁAWA JUSZCZAK
ul. 31 stycznia 7/3
BARLINEK 74-320

Spotkania

CZAS

Namalował go pięćdziesiąt lat temu hiszpański malarz, którego niezwykłość i fantastyka artystycznych wizji oraz podobny do nich styl życia od lat przysparza mu gorących wielbicieli i przeciwników. Salvador Dali, dziś blisko osiemdziesięcioletni, gdy malował „Trwałość pamięci" nie miał jeszcze trzydziestki. Trwałość pamięci... Czy to nie jest właściwie jedyny rzeczywisty wymiar czasu?

Jesteśmy nim obdarowani najsprawiedliwiej i najniesprawiedliwiej zarazem. Dzień każdego z nas składa się z dwudziestu czterech godzin, godzina z sześćdziesięciu minut, minuta z sześćdziesięciu sekund. Cóż to jest sekunda? Czasami odmierza ją bicie naszego serca, choć zwykle uderza ono częściej niż co sekundę. Tyle może trwa niezauważalne dla nas zmrużenie oczu. A przecież precyzyjne zegary mierzą czas biegaczy z dokładnością do setnych części sekundy. Są dziedziny nauki i techniki, w których i sekundę rozbito jak atom.

A przecież nie od nas zależy, ile tych wyobrażalnych i niewyobrażalnych małych cząstek zdołamy wypełnić własnym życiem. Wrześniowa rocznica znowu kazała nam się pochylić nad grobami. Żył lat piętnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia trzy... A zresztą choćby i trzy razy tyle, choćby życia nie przerwał wojenny kataklizm lecz choroba, wypadek samochodowy, burza czy zawierucha, zawsze to niesprawiedliwe, zawsze trwało za krótko, bo innym przecież czas odmierzono bardziej szczodrą ręką. Ale miara była jednak taka sama: lata, miesiące, tygodnie, dni...

Czy taka sama? Dlaczego jeden dzień mija jak oka mgnienie, a inny ciągnie się całą wieczność? Dlaczego czterdzieści pięć minut niepewności – wyrwie czy nie wyrwie? – wydłuża lekcję do monstrualnych rozmiarów, gdy dzwonek przerywający pisanie klasówki brzmi jak przedwczesna omyłka woźnego? Dlaczego kwadranse czekającego i spóźniającego się na spotkanie to zupełnie inne kwadranse?

Teoria względności... Nie takie oczywiście jej przejawy brał pod uwagę w swoich wyliczeniach Albert Einstein, którego zasady fizyki fascynowały już jako szesnastolatka. Jaką intensywność miał czas jego życia, z którego trzydzieści pięć lat poświęcił myśli nad takimi teoretycznymi zagadnieniami grawitacji, o których nie wiemy nawet, czy mają rozwiązanie. Ile zwykłych godzin zawiera godzina myśli i działania takiego człowieka? Ludzi jemu podobnych, których pasje spajają łańcuchem poszukiwań i odkryć kolejne epoki? Jak zauważył współpracownik Einsteina, profesor Leopold Infeld, w roku urodzin tego genialnego fizyka i – jak go określił – jednego z najszlachetniejszyoh ludzi umarł jego wielki poprzednik, angielski fizyk James Clerk Maxwell. W roku urodzin innego genialnego angielskiego fizyka i matematyka, Isaaca Newtona, zmarł z kolei jego wielki poprzednik, włoski fizyk, astronom i filozof Galileo Galilei.

Kto urodził się w roku 1955, roku śmierci Einsteina? Może dziś można o nim powiedzieć tylko, że skończył dwadzieścia siedem lat. Ale jutro...

A jaka jest Twoja pasja? Jaka jest wartość Twojego czasu?

Osiem godzin snu, pięć godzin lekcji, może dwie godziny nauki w domu, pewnie co najmniej trzy wypełnione koniecznymi czynnościami każdego zwykłego dnia. Czy potrafisz wyliczyć się przed sobą samym z pozostałych sześciu dziennie? Czy zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób co czwarta doba, nie licząc wolnych sobót i niedziel, stoi w pełni do twojej dyspozycji? Ile czasu znajdujesz w niej na to, co dla Ciebie liczy się naprawdę? Czy w ogóle próbowałeś określić dla siebie taką wartość? Poszukać jej, próbując czasami w różnych, nawet zupełnie przeciwstawnych dziedzinach? Czy już coś sumujesz, dodajesz w sobie, bo wiesz, że tego, jako części siebie samego, zgubić nie powinieneś?

Mariusz, kiedy go poznałem, skończył właśnie podstawówkę. Ciągle coś pisał. Miał jakieś dalekie literacko-filmowe plany. Oceniany był różnie, ale i on oceniał innych bezkompromisowo. Wygrywał nawet jakieś konkursy, także i naszej gazety, ale z pewnością nie było mu łatwo. Nie wiem, jak ułożyło się jego życie, bo kontakty się jakoś zerwały, ale w jednym z wydawnictw właśnie wyszła jego książka. Jeszcze jej nie czytałem, ale wiem, że to wynik czasu, który jednak potrafił mimo wszystkich przeszkód wykorzystać.

Trwałość pamięci... Nazwałem ją jedynym rzeczywistym wymiarem czasu. Może to prawda w odniesieniu do zastygłej przeszłości. Do czasów Galileusza, Newtona, Maxwella. Na dziś jest chyba inaczej. I obwisłe, bezwładne zegary z obrazu Salvadora Dali muszą ożyć, nabrać swych pełnych kształtów, wyprostować wskazówki. Czas teraźniejszy musi żyć intensywnością naszego życia, o którym wiemy, że godzina nie jest w nim równa godzinie...

Jarek

„PARASOL”

Z dr. Piotrem Stachiewiczem, ps. „Wyrwa”, żołnierzem batalionu „Parasol” i autorem książki, którą powinien przeczytać każdy Polak rozmawia Teresa Maciszewska

– We wstępie do historii „Parasola” – wojskowego oddziału do zadań specjalnych Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej napisał Pan: (...) „Pokolenie moje wniosło do historii Polski wartości ponadczasowe i choćby z tej racji zobowiązane jest utrwalić to, co powinno i chce przekazać następcom. Z tej przesłanki zrodziło się niniejsze opracowanie”. Czy uważa Pan, że wywiązał się z tego zadania wzorowo?

– Jeden z recenzentów wewnętrznych tej książki wyraził opinię, że autor w tym wszystkim co napisał, jest rzetelnie wiarygodny. A ponadto zauważył, że praca w każdym fragmencie, w każdym drobiazgu od pierwszej do ostatniej strony, utrwala w czytelniku pogląd o nadrzędnych wartościach moralnych jakie reprezentowała Kwatera Główna Szarych Szeregów i dowództwo Kedywu przy wprowadzaniu młodzieży do walki. Słowem wyczuł to, co było moją intencją. Albowiem nie sam historycznie ważny przebieg walki, ale elementy moralne, wychowawcze i ideowe jej towarzyszące, były dla mnie sprawą nadrzędną, najważniejszą. Do utrwalenia tego, co ponadczasowe zmobilizował mnie były dowódca tegoż „Parasola” – zrzutek cichociemny Adam Borys (mjr „Pług”), jak również niektórzy koledzy ze środowiska.

– Rok działalności bojowej batalionu „Parasol” (od sierpnia 1943 do chwili upadku Powstania Warszawskiego), organizację wewnętrzną oddziału, funkcjonowanie służb zaplecza, przebieg bieżących zadań bojowych, zamknął Pan w opasłej, bo liczącej blisko 800 stron publikacji. Uzupełnia ją niezliczona ilość zdjęć, fotokopii dokumentów, zestawień, aneksów, przypisów. Te blisko 800 stron, to wynik 8 lat żmudnej pracy badawczej. To szperanie w zbiorach licznych archiwów w kraju i za granicą, to rozmowy z żyjącymi do dziś żołnierzami batalionu i członkami ich rodzin, to nieustanne sprawdzanie, eliminowanie, porównywanie gromadzonych informacji. Czy jest Pan pewien, że nie pominął jakiegoś istotnego źródła?

– Ogólne i fragmentaryczne ramy historii „Parasola” są nam – „parasolarzom” jako tako znane. Jeśli więc chodzi o wypełnienie ich treścią, to jestem przekonany, że nic tu się już zmienić nie da. Na pewno nie dojdą takie nowe elementy, które mogłyby tę konstrukcję syntetyczną zmienić czy też ukształtować inaczej. Natomiast będą jeszcze – jak sądzę – napływać informacje szczegółowe – i te zostaną wprowadzone do kolejnego wydania książki.

– Dobrze, że PAX szykuje następne wydanie, bo pierwsze w ilości 20 tys. egzemplarzy rozwiało się jak sen złoty. Mam nadzieję, że chociaż każdy „parasolarz” dostał ją obowiązkowo...

– Dostał lub dostanie, bo niestety tamtamami nie możemy przekazać jej treści np. do Stanów Zjednoczonych...

– A czy znaleźli się inni wydawcy, na przykład poza granicami kraju, chętni do przetłumaczenia książki na języki obce?

– Owszem, byli: w RFN i Japonii.

– Czemu w Japonii?

– Bo jest to może znakomity kodeks nowoczesnych samurajów...

– Czy znane są Panu opinie czytelników? Jak to, co Pan napisał zostało przyjęte przez środowisko byłych akowców, żołnierzy batalionu, marksistów, historyków?

– Głosy generalnie na „nie” nie są mi znane. Nie widzę zresztą powodu, żeby książka przez jakiegokolwiek Polaka mogła zostać przyjęta źle. Choć oczywiście drobne mankamenty czy potknięcia przy tak obszernym materiale są nieuniknione.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Fot. **M. Zieleniewska**

KONKURS FOTOGRAFICZNY SOBÓTKI

NAGRODA II **Romuald Selegrat** – Lublin

WYRÓŻNIENIE **Marlena Chudaś** – Bolesławiec

NAGRODA III **Rajmund Kopeć** – Nisko

WYRÓŻNIENIE **Andrzej Gontarz** – Knurów

„Z pokorą wobec poległych, z czcią dla zamordowanych, z myślą o przyszłych” (1)

„PARASOL”

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Natomiast jeśli chodzi o ocenę środowiska „Parasola” – liczącego w tej chwili osób 280, a więc niewiele ponad 1 proc. nakładu książki, to może się zdarzyć, że 200 osób jest bardzo zadowolonych, 50 mniej, a 30 – wcale. I z tym ryzykiem każdy autor musi się liczyć. Wiem również, że w środowisku żołnierzy batalionu „Zośka”, książka została przyjęta szalenie pozytywnie i z dużą dozą zazdrości, że sami takiej historii jeszcze nie mają. Chociaż z drugiej strony odczuwają dość istotne niedosyty dotyczące wspólnego pnia rodowodowego „Zośki” i „Parasola” oraz wzajemnych powiązań. Pod dużym wrażeniem monografii był także minister kultury i sztuki – Józef Tejchma, choć jest to akurat człowiek z naszym środowiskiem zupełnie nie związany. W kręgach polskiej emigracji zachodniej „Parasol” został przyjęty z dużym uznaniem – osiąga tam zresztą zupełnie bajońskie ceny. Choć słyszałem, że przedstawiciele tejże emigracji otrzymując egzemplarz książki – obok szalonego zadowolenia, wyrażają jednocześnie żal, że nie pozostaje ona w kraju jako wzorzec nie tyle metod, ile kierunków wychowawczych.

– Mnie również proszę zaliczyć do grona czytelników pełnych szacunku dla wyniku pańskiej gigantycznej pracy, dociekliwości naukowo-badawczej, rzetelności w stosunku do źródeł. Ciekawi mnie natomiast jakie uczucia dominują w autorze, kiedy po 12 latach rozlicznych czynności, zabiegów i zmagań ujrzy swoje dzieło w ostatecznym kształcie w księgarni. Czy jest to żal, że się skończyło, strach, że się skończyło, ulga, że się już skończyło?

– Ani strach, ani żal, ani ulga, lecz pełne zadowolenie, że wyszło tak, jak wyszło. Dlatego, że książka w całości odpowiada moim założeniom, zarówno w szacie graficznej – którą sam robiłem – jak i w treści.

– To szczęśliwy z Pana autor...

– ... lecz problematyki czysto indywidualnej walki powstańczej mam na razie dość. Chętnie natomiast zrobiłbym ogólną syntezę powstania: strategiczną, taktyczną, operacyjną.

– Naukowy charakter syntezy dziejów „Parasola” wynika z wykorzystania bogato udokumentowanych materiałów źródłowych. Korzystał Pan między innymi z zasobów: Wojskowego Instytutu Historycznego, Archiwum KC, Centralnego Archiwum Wojskowego, Instytutu Historii PAN, Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, miejskiego archiwum Kielc, Radomia, Bielska-Białej, przedsiębiorstwa geodezyjnego Krakowa i Warszawy, zakładów medycyny sądowej... Jednakże spora część informacji stanowiących o kolorycie życia codziennego oddziału płynęła z relacji ustnych i wspomnień. Czy nie ma Pan wrażenia, że rozmawiając po tylu latach z uczestnikami i świadkami tamtych dni, uległ Pan ich legendzie?

– Nie, nie mam. Krętactwa lub braki pamięci trzeba bowiem eliminować wzajemną weryfikacją tak długo, aż się dojdzie do wersji ostatecznej i najbliższej prawdzie. Chociaż zdarzały się sytuacje, w których jednoznaczne rozstrzygnięcie jest już dziś absolutnie niemożliwe. Np. w pięknej taktycznie warszawskiej akcji na Brauna przyznają się do podawania broni dwie łączniczki. Prawdopodobnie obie coś pamiętają, ale może pomyliły daty, okoliczności lub nawet akcje – trudno to teraz rozstrzygnąć. Wobec tego napisałem, że istnieją takie dwie wersje. Są również pewne fakty węzłowe, których nie sposób już dziś zweryfikować, gdyż jest za mało świadków (np. podział Warszawskich Grup Szturmowych na dwa oddziały „Zośka” i „Parasol”).

– Czy dążąc do ustalenia wersji ostatecznej i jedynej przeprowadzał Pan również wizje lokalne?

– Oczywiście. Tak było na przykład z największą operacją bojową „Parasola” w lipcu 1944 roku – akcją na Koppego. Było to przedsięwzięcie w działalności podziemnej i konspiracyjnej bezprecedensowe, żeby pomiędzy Warszawą i Krakowem poprzerzucać ludzi, samochody, broń, amunicję i inne środki, jak gdyby drogi nie były pełne Niemców... A potem tkwić dwa tygodnie w tym zupełnie obcym topograficznie, duchem i atmosferą mieście, czekać na akcję, trzy razy ją wystawiać, aż wreszcie przeprowadzić i dokonać odskoku, który zakończył się tragicznie pod Udorzem. I o ile miałem jasność co do samych przygotowań i przebiegu akcji w Krakowie, o tyle w terenie sprawa się komplikowała. Wziąłem więc z Warszawy samochód, magnetofon, fotografa, umówiłem się w Krakowie z dwoma uczestnikami tejże akcji z „Parasola” i dwoma żołnierzami z ówczesnej obstawy terenowej. Po czym podjechaliśmy do skarpy w Udorzu, gdzie zespół został zaskoczony przez Niemców. Dzień był lipcowy – tak samo jak wtedy, mniej więcej ta sama wysokość zboża i podobne kartofliska... Wędrówka trwała cały dzień – straciliśmy buty i spodnie, bo ulewa była okrutna, ale ponad 20-kilometrową trasę z Udorza do Przysieki odtworzyliśmy bezbłędnie, wyjaśniając po drodze wiele wątpliwości i rozbieżności między uczestnikami. Mało tego – był taki moment kiedy zmordowani wyszliśmy z niewielkiego borku prosto na chałupę, przed którą siedział staruszeczek. Ten, gdy zobaczył, że kilku chłopów wali wprost na niego, aż się cofnął przestraszony. Dopiero później powiedział nam, że do dziś jeszcze ma przed oczami obraz grupki partyzantów która w 44 roku wyszła na niego z tego samego kierunku. Potwierdziły się też i inne fakty sprzed lat: odnaleźliśmy Piotra Miąsko z Zamiechówka, który wiózł rannych na wozie do Staszyna, po długich rozpytywaniach i poszukiwaniach trafiliśmy do chałupy pani Weroniki Gacek, która ukrywała uczestników akcji w stodole i do dziś przechowała kenkartę dowodzącego operacją Stanisława Leopolda – „Rafała”. Czy może być moment większej satysfakcji dla badacza, gdy cała ta mozaika zdarzeń znanych z dokumentów i opowieści ułoży się w jeden logiczny obraz i potwierdzi w rzeczywistości?...

(Dokończenie w następnym numerze)

P. Stachiewicz – „Parasol”. Dzieje oddziału do zadań specjalnych Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. Warszawa 1981, s. 794, cena 650 zł.

PRZECIW „PACZKOM”, SOBKOM I NIEŻYCZLIWYM

Irytuje Was tworzenie się w klasie nieprzystępnych „paczek” towarzyskich. Niepokoicie się, że wracając po długiej chorobie nie znajdujecie osoby, która ze zwykłej życzliwości sama zaproponuje pożyczenie zeszytu lub wytłumaczy zaległe tematy. Czy rzeczywiście tak musi być, że wielu z Was czuje się w swojej klasie źle, uważa się za niepotrzebnych lub niedocenionych?

Doktor Danuta Nakoneczna oraz inni pracownicy Instytutu Badań Pedagogicznych są zdania, iż można takim przykrym uczniowskim doświadczeniom zapobiec. Od lat w kilku warszawskich i podwarszawskich szkołach podstawowych próbują upowszechniać nowoczesne metody dydaktyczno-wychowawcze. Metoda pracy grupowej jest jedną z nich.

– W tradycyjnej szkole – twierdzi dr Nakoneczna – nie stosuje się tej metody z pełnym zrozumieniem. A przecież daje ona każdemu dziecku m.in. poczucie bezpieczeństwa. Liczyć ono może na wsparcie koleżanek i kolegów w codziennych szkolnych sytuacjach, na ich zainteresowanie. Na takim podłożu rodzą się sympatie i przyjaźnie.

W Szkole Podstawowej nr 162 trafiłam na lekcję historii. W klasie szóstej temat: „Rewolucja przemysłowa w Anglii”. Pani Elżbieta Kostrzyńska rozdziela tematy do opracowania w grupach. Jedna z karteczek trafia na stolik, przy którym siedzą same dziewczęta, druga do grupy mieszanej. Zespół chłopców ma opracować zagadnienie „męskie”: nowe maszyny i wynalazki. Kilkanaście minut skupionego czytania podręcznika i potem szmer przyciszonych głosów. W grupach trwa narada, kto zreferuje temat. Grupowi są w rozterce. Sami mieliby na to ochotę. Komu dać okazję do zarobienia punktów za aktywność? Temu mniej zdolnemu, nieśmiałemu koledze. A może powinna się dziś zrehabilitować dziewczyna, która na poprzedniej lekcji była strofowana za nieuwagę? By trafnie wybrać osobę, trzeba dobrze znać kolegów z grupy. Lekcja stopniowo nabiera tempa. Pani Kostrzyńska raz po raz podchodzi do któregoś stolika, udziela wskazówek, zadaje pytania mniej aktywnym uczniom. Przez czterdzieści pięć minut prawie wszyscy włączeni zostają w tok lekcji.

Nagle klops, tempo słabnie. Pojawia się bowiem problem. Jak nazwać człowieka, który jest właścicielem manufaktury i maszyn. W klasie głębokie milczenie. Wreszcie niepewnie podnosi się czyjaś ręka: – „To będzie dyrektor” – Gdy na twarzy nauczycielki widać wahanie, w górę wystrzela kolejna ręka: – „Taki człowiek to zarządzający...” Naprowadzeni przez nauczycielkę znajdują w końcu odpowiednie określenie: fabrykant. W ten sposób samodzielnie dochodzą do wniosku, że pracownicy ztrudnieni przez fabrykanta są robotnikami najemnymi. Pod koniec lekcji na tablicy powstaje graficzny schemat podsumowujący treść lekcji. „Rewolucja przemysłowa w Anglii to: pojawienie się nowych maszyn, przejście z przemysłu manufakturowego na fabryczny, powstanie grupy społecznej właścicieli fabryk i robotników najemnych i... Ciąg dalszy do wypełnienia w domu.”

W tej klasie w zespołach są uczniowie dobrzy, przeciętni i słabi. Dobrać się nie było łatwo. Na początku dziewczęta chciały tworzyć grupy tylko między sobą, chłopcy podobnie. Lepsi uczniowie garnęli się do lepszych. Słabsi oraz nieśmiali pozostawali gdzieś z boku. Ten pierwszy spontaniczny dobór z czasem wspólnie skorygowano.

Katarzyna, kierująca jednym z zespołów: – Najłatwiej jest utworzyć grupę z samych najlepszych uczniów. Taka na pewno zawsze będzie się wyróżniać, we wszytkim będzie lepsza, zawsze zgrana. Ale są też w klasie uczniowie, tacy na pierwszy rzut oka nijacy. Dopiero w grupie można się im przyjrzeć z bliska, lepiej poznać i nawet polubić.

Ulka na dzisiejszej lekcji była bardzo aktywna. Pani Kostrzyńska „pożyczyła” jej w poprzednim semestrze pół stopnia. Ulka stara się więc, by ten honorowy dług jak najszybciej zwrócić. Koleżanki z grupy bardzo ją do tego dopingują. Urszula coraz chętniej i pewniej zgłasza się do odpowiedzi.

– Jak czegoś z lekcji nie zrozumiem – mówi – to zawsze mogę zapytać koleżankę i ona mi wytłumaczy. A zwrócić się z tym do nauczyciela trochę wstyd...

Radek ma pod opieką samych chłopców. Wyraźne trudności sprawia mu powstrzymywanie się przed ciągłym podnoszeniem ręki. Nie może jednak wyręczać innych, więc z obowiązku daje szansę kolegom. Zapytany, jak czuje się w grupie odpowiada:

– Ja właściwie najbardziej lubię uczyć się sam. Nie tracę wtedy czasu na powtarzanie, tłumaczenie komuś.

Taki indywidualista znajdzie się w każdej klasie. By nie czuł się zbytnio znudzony i zniecierpliwony, nauczyciel proponuje mu czasem zadania ambitniejsze do samodzielnego opracowania.

Po lekcji, już w zaciszu gabinetu, pani Kostrzyńska przyznaje, że prowadzenie lekcji metodą pracy grupowej aktywizuje i uczniów i nauczyciela. Aby lekcja przebiegała sprawnie trzeba każdy jej etap dokładnie obmyśleć i przeanalizować.

– Muszę maksymalnie wykorzystać czas. A to wymaga stałej koncentracji – mówi pani Elżbieta. – Trzeba śledzić pracę grup, udzielać wskazówek, tłumaczyć nieznane określenia. Czterdzieści pięć minut stałego napięcia!

Nie wszystkie klasy w szkole z jednakowym entuzjazmem podchodzą do pracy w zespołach. Są takie, w których podział na grupy jest czymś sztucznym i istnieje tylko na lekcji. Nie są to jeszcze zespoły koleżeńskie, bo nie ma w nich żadnych serdecznych więzi, które odżywałyby także poza szkołą. Takie klasy trudno jest czymś ożywić, zapalić do czegoś, mimo że są na co dzień roześmiane i hałaśliwe.

– Trudno nawet wytłumaczyć dlaczego tak się dzieje – dodaje pani Kostrzyńska. – Prawdopodobnie to wynik określonego zestawienia charakterów, osobowości. Wytwarzają atmosferę egoizmu, sobkostwa. I ciężko to zmienić... Bywa, że i rodzice są po trosze temu winni. Narzekają, że ich dzieci są nielubiane i samotne. Sami je jednak izolują od rówieśników. Do takiego domu, gdzie nie czuje się przychylności, nie chce się wpaść nawet na szkolne plotki, a cóż dopiero po to, by wspólnie pouczyć się przed klasówką.

Praktyka wykazała, że najlepiej funkcje grupowych pełnią dziewczęta. Są sumienniejsze od chłopców. I bardzo się swoją rolą przejmują. Przekonała się o tym dr Nakoneczna, gdy któregoś dnia dwie bardzo zmartwione i zdenerwowane dziewczyny zadzwoniły do niej skarżąc się, że kolega, z którym były umówione na wspólne odrobienie lekcji – wyjechał właśnie do babci. Nie były w stanie zrozumieć, jak on mógł im to zrobić! Inna dziewczyna, zupełnie zrezygnowana skarżyła się, że już czuje się bezsilna, bo mimo że chłopakowi ze swojej grupy wciąż przypomina (w sklepie, na podwórku, na klatce schodowej) żeby nie zapomniał zeszytów, to on wciąż ich do szkoły nie przynosi.

Można w tym widzieć tylko szkolne anegdotki. Można też jednak uznać to za pierwsze oznaki rodzenia się w młodzieży odpowiedzialności za innych, wychodzenia poza zaklęty krąg egocentryzmu. Po prostu etap dojrzewania do koleżeńskich, przyjacielskich więzi.

Pani Kostrzyńska raz po raz podchodzi do któregoś stolika, udziela wskazówek, zadaje pytania

BOŻENA CZAJKA
Fot. **J. Łopuszyński**

SKOK NAD TIETIEJĘ

Gospodarze ostrzegają: warunki są trudne, ale wystartować można. Lotnisko w Jerbogaczonie jest wprawdzie rozmokłe, lecz dla helikoptera znajdzie się kawałek twardszej nawierzchni. W Tietiei nad Tietieją (wioska i rzeka o tej samej nazwie) też chyba da się wylądować, bo w nocy pewnie trochę przymarznie. Ale jeżeli potem nagle się ociepli, to możecie utknąć w tej Tietiei choćby i na dwa tygodnie.

No, niech tam. Spróbujemy!

Startujemy rano w rześkim, jeszcze mroźnym powietrzu. 120 kilometrów do Tietiei pokonujemy małym „Mi-2" w kilkadziesiąt minut. Pod nami, gdzie okiem sięgnąć – tajga, tajga, tajga... Kręte rzeki i strumienie, mnóstwo jezior i małych oczek wodnych, góry o łagodnych stokach porośniętych odwiecznym lasem, umierające drzewa padają powalone wiekiem lub wichurą, na nich rosną następne i tak żyje ta nawarstwiająca się plątanina pni i gałęzi, mało przypominająca las w naszym rozumieniu tego słowa. Latem w każdym metrze sześciennym powietrza kłębią się miliony komarów, ślepaków i innych owadów tak agresywnych, że potrafią zamęczyć nawet łosia, który cały w krwawych ranach chroni się przed natrętnymi owadami wchodząc po szyję w bagno i nie zawsze starcza mu sił, aby się stamtąd wydostać.

Ale oto widać jakąś większą rzekę. Tak, to Tietieja. Zataczamy koło, mieszkańcy wsi już nas usłyszeli i gromadka ludzi pędzi w stronę lądowiska. Siadamy wzniecając fontanny błota. Helikopter natychmiast oblegają mieszkańcy tej maleńkiej, liczącej mniej niż stu obywateli osady. Nawet psy przybiegły, jakby też czekały na listy i wiadomości ze stolicy rejonu.

Rzeczywiście, ledwie się słońce podniosło trochę wyżej – zrobiło się straszne błoto. Poza wioskę nie sposób wyjść. Lód na Tietiei pęka, a tajga o tej porze roku nie do przejścia. Więc zobaczmy, jak ludzie tu żyją, kiedy ani polować, ani ryb łowić nie można.

Małe, skromne domki skupione na niewielkiej przestrzeni. Dzieci palą ogniska, kobiety plotkują koło wioskowego sklepiku, mężczyźni stoją grupkami i widać, że zupełnie nie wiedzą, co zrobić z czasem. Rolnictwa tu, jak w całej Katandze, nie ma, poza niewielką hodowlą krów. Ziemi orać się nie da, pod cienką rozmarzającą na lato warstwą pozostaje przecież twarda jak skała wieczna zmarzlina. Na takim zimnym podkładzie niewiele roślin wytrzyma. W dodatku lato takie krótkie. Owszem, w Jerbogaczonie ludzie urządzają sobie ogródki koło domów, nawet sadzą kartofle, ale wielkiej pociechy z tego nie ma. Nieźle udają się pomidory w malutkich przydomowych szklarniach, ale poza stolicą rejonu jakoś to się nie przyjęło. Za to wszyscy korzystają z wiecznej zmarzliny jako lodówki – każdy ma pod domem albo pod szopą głęboką piwnicę, w której znakomicie przechowują się wiktuały. W dodatku ta lodówka nigdy się nie psuje.

Obeszliśmy Tietieję w kilkanaście minut. Wstępujemy do sławnego myśliwego Farkowa. Gennadij Gawryłowicz Farkow jest w domu, zaprasza, ma już gości, siedzą u niego dwaj inni znani w całej Katandze myśliwi: Nikołaj Kaplin i Ewenk Wiktor Syczeger, którego siostra jest żoną Farkowa.

U Farkowa podobno zawsze jest coś dobrego do jedzenia. Ktoś nam nawet we wsi powiedział, że Gennadij Gawryłowicz żywi całą wioskę.

– No cóż – powiada Farkow – może jest w tym trochę przesady, ale fakt, że polować lubię, pracy swojej nie żałuję i myślę nie tylko o sobie i swojej rodzinie.

Gospodarz właśnie niedawno wrócił z zimowiska. – Straszna droga – powiada. – W tajdze wpada się co chwila w wykroty pełne wody. 40 kilometrów idzie się prawie 20 godzin, a tu jeszcze w plecaku ze 40 kilo mięsa i ryb, no i sztucer myśliwski na ramieniu. Bez broni po tajdze się nie chodzi...

Gennadij częstuje soloną ikrą szczupaczą, żona smaży ryby, a w wielkim rondlu dusi się sochacina. – Tego łosia – powiada Farkow – upolowałem jeszcze jesienią, zamarznięte mięso przeleżało w zimowisku, teraz się przyda. Za dwa dni pójdziemy tam z żoną i przesiedzimy już do końca wiosny, aż wody opadną. To nie tak długo, teraz mamy koniec kwietnia – w drugiej połowie maja pewnie będziemy już w domu.

Co chwila ktoś zagląda do domu Farkowów, prosi o odstąpienie kawałka mięsa. Gospodarz trochę przygaduje, że lenie, że młodzi, a on już prawie emeryt i dźwiga to mięso, ale oczywiście daje każdemu po kawałku. – Ci młodzi to przeważnie dobrzy myśliwi, ale już tacy nowocześni – wzdycha Farkow. – Oni by tylko polowali na sobole, bo to łatwy zarobek: po 60–120 rubli za skórkę, albo na biełkę (syberyjska popielata wiewiórka), też dobry interes – 2 do 4 rubli za sztukę. Za skórkę piżmaka można dostać do 6 rubli. To jest przyjemne polowanie. Psy wyszukują zwierzaka, obszczekają go, myśliwy podchodzi, strzela, ściąga skórkę i idzie dalej. A ileż się trzeba nachodzić za łosiem, a potem jakiż ciężar taszczyć do zimowiska. Zysk z tego nie jest duży, ale jeść przecież trzeba i w ogóle cóż to za myśliwy, co do sklepu chodzi po mięso...

Farkow pochodzi z tych okolic, a że jest synem Rosjanina i Ewenki, więc myślistwo i umiejętność życia w tajdze ma we krwi. Po matce odziedziczył sporo cech zewnętrznych: jest szczupły, drobnej budowy, niewysoki, ma lekko żółtawą cerę i duże, ciemne oczy. Ma też, pewnie po ojcu, typowo rosyjską łatwość nawiązywania przyjaźni, jest lubiany i znany z uczynności. Na Farkowa – to wiedzą w całej Katandze – można zawsze liczyć. Zaczynał co prawda nie w łowiectwie. Najpierw pracował w ekspedycji geologicznej, ożenił się, podobnie jak ojciec, z Ewenką. Mają bardzo ładny, chyba największy w Tietiei dom, pięknie i wygodnie urządzony, bardzo czysty i przytulny. Dużo skór, sporo ozdobnych przedmiotów wykonanych własnoręcznie przez Farkowa i jego żonę podczas długich wieczorów spędzanych w myśliwskich zimowiskach.

W Tietei jest sporo mieszanych, rosyjsko-ewenkijskich małżeństw. Żona Wiktora Syczegera, brata Farkowej, to Rosjanka, z zawodu felczerka. On prowadzi sklep, a ona zapewnia mieszkańcom wsi opiekę medyczną. A jak się zdarzy poważniejsza choroba, to przez radio wzywa lekarza z Jerbogaczonu.

Podczas spaceru po wiosce widziałem tylko małe dzieci. Wyjaśniono mi, że w niewielkich osadach nie organizuje się szkół i wszystkie dzieci na koszt państwa uczą się i mieszkają w internatach w Jerbogaczonie. Dla rodziców, którzy często oboje zawodowo polują, jest to dobre rozwiązanie.

A polują tu prawie wszyscy. Poza zawodowymi myśliwymi – także ludzie innych zawodów. Tak jest w całej Katandze, a także w innych bogatych w zwierzynę okolicach Syberii. Kiedy nadchodzi sezon polowań – każdy, kto podpisze umowę ze spółdzielnią i zobowiąże się, że dostarczy skórki upolowanych zwierząt lub mięso, otrzymuje na cały okres pobytu w tajdze urlop okolicznościowy. Tak więc do tajgi ruszają lekarza i nauczyciele, księgowi i prokuratorzy, w ogóle wszyscy, którzy umieją strzelać i lubią samotne życie w tajdze oraz trochę ryzyka. Spółdzielnia bezpłatnie wyposaża ich w amunicję, a jeżeli trzeba, pomaga w zakupie broni myśliwskiej.

Właśnie – broń. Farkow powiada, że na sobola i wiewiórkę trzeba mieć małokalibrówkę, żeby nie niszczyć skór dużym pociskiem, a o strzelaniu śrutem oczywiście mowy być nie może. Ale musi to być dobra małokalibrówka, wyważona, celna, absolutnie niezawodna. Kaliber jest w karabinku sportowym mały, ale skuteczność strzału duża, nawet z odległości 100 metrów. Dobra strzelba i pewne oko – oto co decyduje o zarobkach myśliwego, który musi trafić małą wiewiórkę czy niewiele większego sobola uciekającego po wierzchołkach wysokich, kołysanych wiatrem drzew. Poza tym trzeba mieć i myśliwski karabin, czyli sztucer, na łosia i inną grubą zwierzynę, no i w razie czego – na niedźwiedzia. W gruncie rzeczy specjalnie na niedźwiedzie zawodowi myśliwi nie polują, to dobre dla mieszczuchów. W Katandze myślistwo – to zawód i źródło utrzymania. A co komu z zabitego niedźwiedzia? Trochę niezłego mięsa na łapach, trochę sadła, które zresztą nie wszyscy lubią. Skóra ogromna, gruba i ciężka, którą trudno z tajgi przynieść. Pewnie, jeżeli się ją komuś zawiezie do Moskwy to jest to wielka uciecha, albo i niezły dochód. Ale jak zabrać do samolotu taką skórę, która po zwinięciu ma wielkość dużego kufra?

Tu, w Katandze, czasem jeszcze ktoś zapoluje specjalnie na niedźwiedzia, ale zdarza się to bardzo rzadko. Natomiast trochę dalej na północ, u Jakutów, myśliwi nigdy nie strzelają do niedźwiedzia, chyba że zostaną przez niego zaatakowani. To się zdarza, zwłaszcza jesienią i zimą, kiedy część niedźwiedzi z niewiadomych powodów nie zapadła w sen zimowy. Są głodne i złe, a niedźwiedź syberyjski lubi mięso. W lecie atakuje rzadziej, gdyż nie jest głodny i ma innego pożywienia pod dostatkiem. – No więc, tak czy inaczej – powiada Farkow – trzeba być na spotkanie z miszą zawsze przygotowanym. Jeżeli polujemy z małokalibrówką, to na drugim ramieniu musi wisieć naładowany sztucer albo, ostatecznie, specjalna strzelba syberyjskich myśliwych, zwana bokiem. Jest to strzelba o dwóch gwintowanych lufach położonych jedna na drugą. Górna na amunicję małokalibrową na sobole, wiewiórki i gronostaje, dolna zaś ma duży kaliber sztucera. Ryzyko polega na tym, że w tej sztucerowej lufie jest tylko jeden nabój, którym trzeba niedźwiedzia zabić. Jeżeli się go nie trafi lub co gorsza tylko rani – rozjuszony zwierz nie pozwoli myśliwemu ujść z życiem, a o powtórnym naładowaniu strzelby nie ma co marzyć, niedźwiedź będzie szybszy... Pozostaje wyrwać wielki nóż zza pasa i próbować walki wręcz. Dawniej Ewenkowie polowali na niedźwiedzie przy pomocy krótkiej dzidy, a i dzisiaj niektórzy posługują się nią, zamiast nosić na plecach sztucer. I często ta dzida wystarcza. Niemało jest też myśliwych, którzy wygrali walkę z niedźwiedziem przy pomocy noża. Było jednak również bardzo wielu, którzy ją przegrali...

WOJCIECH KUBICKI
Fot. **Janusz Fogler**

Fragment książki pt. „Tajga" z serii „Globus" przygotowanej do druku w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej.

Wasze bezpieczeństwo – w Waszych rękach

Z kpt. Romanem Klamrą, inspektorem Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej MO w Warszawie rozmawia Krystyna Klimowicz

– Panie kapitanie liczba wypadków drogowych i ulicznych tragicznie rośnie. Teraz, gdy zaczęła się już szkoła, gdy na ulicach i osiedlach sporo jeszcze – bo ciepło – rowerzystów, wrotkowiczów itp. dzieci bawiących się bez dozoru – sytuacja staje się jeszcze groźniejsza. Czy zechciałby Pan podać kilka danych ze statystyki wypadków?

– Bezpieczeństwo dzieci i młodzieży szkolnej jest sprawą bardzo ważną. Cena, jaką z powodu braku znajomości, a dużo częściej nieprzestrzegania podstawowych zasad bezpieczeństwa poruszania się po ulicach i drogach płaci dziecko, rodzina i społeczeństwo jest jeszcze zbyt wysoka! Każdego dnia dochodzi do tragicznych wypadków, których plonem jest śmierć, czasem choroba i kalectwo.

Rok 1981 w statystykach wypadków drogowych z udziałem dzieci zapisał się jako najtragiczniejszy w ostatnim dziesięcioleciu! Zanotowano aż 7140 ofiar wypadków, gdy np. w roku 1972 liczba ta wynosiła 6547.

W statystyce wypadków drogowych przyjęto podział dzieci na dwie grupy wiekowe: pierwszą do 7 lat i drugą od lat 7 do 14. Ma on swoje uzasadnienie, bowiem dopiero dzieci 7-letnie mogą poruszać się samodzielnie, bez opieki osób dorosłych. W wyniku zaniedbania tej podstawowej opieki w minionym roku zanotowano 1550 wypadków drogowych, w których 132 dzieci poniosło śmierć, a 1440 doznało obrażeń ciała.

W liczbie 496 dzieci zabitych w wypadkach w ub. roku – 234 nie przekroczyło 7 roku życia, a 262 było w wieku od 7 do 14 lat. Opierając się na tych doświadczeniach twierdzę, że z dyscypliną naprawdę nie jest najlepiej. Dotyczy to szczególnie dzieci, które ukończyły 7 rok życia i mogą samodzielnie poruszać się po drogach. Zachowują się często tak niefrasobliwie, że stwarza to sytuację, w której musi dojść do wypadku!

Niemniej jednak większa wrażliwość i troska o bezpieczeństwo dziecka ze strony dorosłej części społeczeństwa znacznie mogłaby zmniejszyć liczbę tragedii na drogach. Dotyczy to przede wszystkim osób kierujących pojazdami. W miejscach gdzie przebywa dużo dzieci, tzn. w okolicach szkół, przedszkoli, na drogach osiedlowych, gdzie grają w piłkę, jeżdżą na wrotkach i rowerach, kierowcy powinni bezwarunkowo jeździć ostrożniej i przewidywać możliwość nagłego wtargnięcia dziecka na jezdnię.

– Jakie są przyczyny wypadków drogowych, których ofiarami stają się dzieci?

– W ubiegłym roku z winy dzieci – pieszych uczestników ruchu – wydarzyło się 3798 wypadków drogowych, w których 262 dzieci poniosło śmierć, a 3684 zostało rannych. Główne przyczyny wypadków, powtarzających się od szeregu lat, to: brak opieki nad małymi dziećmi (132 zabitych i 1440 rannych!), gwałtowne wybiegnięcie na jezdnię bezpośrednio przed nadjeżdżającym pojazdem (111 zabitych i 1818 rannych), nieprawidłowe przekraczanie jezdni (15 zabitych i 344 rannych).

– Gdzie notuje się największe zagrożenie – w miastach czy na terenach pozamiejskich?

– Bardziej zagrożone są tereny pozamiejskie. Jest to następstwem niedostatecznego przygotowania dzieci, szczególnie wiejskich, do współczesnych warunków ruchu oraz niewłaściwej organizacji czasu pracy i form odpoczynku dzieci. Więcej wypadków z dziećmi zdarza się w okresie wzmożonych prac polowych. Poważnie również rzutuje na bezpieczeństwo dzieci brak dobrze zorganizowanego dowozu do szkół. W 1981 r. na terenie miast poniosło śmierć w wypadkach drogowych 210 dzieci, a na terenach pozamiejskich zginęło 277 dzieci.

– Jakie działania należałoby podjąć lub co się robi, by tragedii powiedzieć – stop?

– Zainteresowane tym problemem instytucje państwowe i organizacje społeczne podejmują wspólnie z Milicją Obywatelską szereg działań profilaktyczno-wychowawczych. Wymienić tu należy akcję i kampanie o zasięgu ogólnokrajowym, np. „Stop! Dziecko na drodze", „Karta rowerowa", „Bezpieczne wakacje", „Bezpieczna droga dziecka do szkoły" i wiele innych. Od 1974 roku obowiązuje nauczanie dzieci i młodzieży przepisów ruchu drogowego. Zarządzenie to zobowiązuje kierownictwo przedszkoli, szkół i placówek oświatowo-wychowawczych do prowadzenia systematycznej pracy w tej dziedzinie. Poważne zadanie w tym zakresie spoczywa na Młodzieżowej Służbie Ruchu. Terenem jej działania powinna być przede wszystkim właśnie szkoła, jej otoczenie, a podstawowym zadaniem – bezpośrednia opieka nad młodszymi dziećmi, zapoznanie ich z zasadami ruchu drogowego i wdrażanie do ich przestrzegania. Zadaniem MSR powinno być zapewnienie bezpieczeństwa dzieciom powracającym ze szkół, a także biorących udział w zbiorowych przemarszach na wycieczki, biwaki, do kina itp.

Tak być powinno – ale codzienność jest dość kiepska. MSR-y dobrze działają tylko w niektórych szkołach. W większości sprawa ogranicza się do munduru i reprezentacji.

Więc – konkluzja jest taka: żadne zarządzenia i przepisy, żadne działania służb drogowych MO nie są w stanie uchronić Was w stu procentach od wypadku, gdy sami nie będziecie pamiętać, że Wasze bezpieczeństwo jest w Waszych rękach!

– Dziękuję za rozmowę.

GWIAZDOZBIÓR

Henry Fonda wraz z Katarzyną Hepburn w swoim ostatnim filmie „Nad złotym stawem". Wielki sukces sędziwej pary aktorskiej – obydwie role zostały nagrodzone Oskarami

HENRY FONDA

AKTOR INSTYNKTOWNY

Minęło niespełna pięć godzin od śmierci aktora, gdy w ekskluzywnej dzielnicy Los Angeles – Bel Air, na porośniętej drzewami uliczce Chalon, przed białą willą w stylu hiszpańskim pod numerem 10744 pojawił się tłum dziennikarzy. Oczekiwano oficjalnego komunikatu. Po chwili w jej drzwiach ukazała się rodzina zmarłego: żona Shirlee oraz dzieci: Peter i Jane. *„Mój mąż zmarł dzisiaj rano śmiercią łagodną i bezbolesną. Noc poprzedzającą zgon spędził z nami, długo rozmawiając. Dziś rano obudził się, usiadł na łóżku i spokojnie przestał oddychać. Zgodnie z jego wolą, którą chcę uszanować, ceremonii pogrzebowej nie będzie".*

Dochodziło południe, 12 sierpnia br. Henry Fonda – najinteligentniejszy aktor amerykańskiego kina, człowiek nieśmiały, człowiek epoka i legenda, człowiek-instytucja – takich określeń używano wobec aktora, który po długich niedomaganiach zmarł na serce w 77 roku życia.

Aktorem został właściwie przez przypadek. Urodzony w 1905 r. w Grand Island w Nebrasce, studiował literaturę na Uniwersytecie w Minnesota. Chciał być dziennikarzem – został urzędnikiem w prywatnej firmie handlowej. I wtedy – możliwe, że dla urozmaicenia monotonii zawodu, związał się z półamatorskim teatrem, który prowadziła Dorothy Brando (matka Marlona). Tam, jak to zwykle bywa – zobaczył go zawodowy reżyser Folley z Omaha i ściągnął młodego aktora do siebie. *„Nie pragnąłem zostać aktorem.(...) Nie byłem z tego powodu szczęśliwy. Gdy stałem się bardziej dojrzały, po którejś z rzędu małej roli zacząłem dochodzić do przekonania, że aktorstwo jest udawaniem, które uznaje się za rzeczywistą prawdę. To jakby przywdziewanie maski. Jaka niezawodna recepta na ukrycie własnej nieśmiałości, jaki wspaniały kamuflaż!"*

Widać początki musiały być wcale obiecujące, skoro niebawem Fonda otrzymał szereg ciekawych propozycji. Był rok 1935, kiedy porzucił teatr i zadebiutował na ekranie przeniesioną ze sceny komedią „Farmer się żeni". Widzowie przyjęli ją życzliwie, aktora okrzyknięto „nadzieją nowego kina". Dość szybko staje się najbardziej wziętym aktorem filmowym – bywają lata w których kręci cztery filmy rocznie (!). Szlachetny szeryf w „Mieście bezprawia", przejmujący sędzia przysięgły w „Dwunastu gniewnych ludziach", wspaniały Bezuchow w „Wojnie i pokoju" – oto wielkie kreacje Fondy, dziś już zaliczane do historii kina. W ciągu 47 lat kariery filmowej zagrał w 87 filmach. Był aktorem bardzo wszechstronnym. Wcielał się w postacie farmera („Grona gniewu"), najwyższych rangą wojskowych („Bitwa w Ardenach"), urzędników państwowych aż do roli kandydata na prezydenta („Ten najlepszy"). Był wreszcie samym prezydentem („System bezpieczeństwa"). Jego role znaczyły zawsze określony wymiar moralny, zaś oszczędny, oparty na intuicji i szlachetnej wyrazistości twarzy sposób gry, zapewniał automatycznie humanistyczną wymowę kolejnym fabułom. Mówiono o nim, że był mistrzem w odtwarzaniu typowości przeciętnego Amerykanina. Charlton Heston, który grał z nim w m.in. w. „Midway" powiedział: *„Henry miał w sobie ogromny potencjał odtwarzania nas, Amerykanów, jakimi byliśmy i jesteśmy, Ameryki jaka była i jest"*. Nigdy nie był amantem, choć zaliczał się do mężczyzn niewątpliwie przystojnych (wysoki, smukła sylwetka, budząca sympatię twarz). Jego córka, również świetna aktorka – to skóra zdjęta z ojca. Syn Peter, także „z branży" – aktor i reżyser tzw. amerykańskiego kina podziemnego (grał m.in. w filmie „Easy Rider").

Ostatni raz pojawił się publicznie w marcu 81 roku. Oparty na lasce (już wtedy odczuwał mocno dolegliwości serca) odebrał z rąk Roberta Redforda pierwszego w swojej blisko półwiecznej karierze aktorskiej Oskara, za całokształt pracy. To najwyższe dla każdego aktora wyróżnienie Akademii Filmowej było jednakże w tym wypadku czymś w rodzaju nagrody dla weterana, wręczonej za wytrwałość i długi staż pracy w zawodzie. O wiele większej radości przysporzył mu więc Oskar przyznany rok później za rolę profesora Normana Thayera w filmie Marka Rydella „Nad złotym stawem". I jak się okazało – był to ostatni, uwieńczony tak wielkim sukcesem film w życiu Fondy, w którym wystąpił razem ze swoją niemniej słynną córką – Jane. Jak twierdzą zgodnie zorientowani (a więc ci, którzy ten film obejrzeli) – jego Norman, to jeden z najpiękniejszych w historii kina portretów starego człowieka, wzruszający wizerunek przemijania. Profesor – początkowo zgryźliwy i niechętny otoczeniu staruch, pod wpływem obcowania z kilkunastoletnim smarkaczem, przybranym dzieckiem swojej córki (gra ją Jane), łagodnieje, ulega przeobrażeniu, ujawnia swą drugą naturę: pogodną i życzliwą.

Tego Oskara odebrała na oficjalnej uroczystości Jane Fonda, która wiedząc, że ojciec ogląda transmisję telewizyjną powiedziała do kamery: *„Tato, jestem z ciebie taka dumna".*

(tem)
Fot. **CAF**

Obok stylu falbaniasto-koronkowo-kwiecistego (o nim – przy okazji – szerzej, bo w ogóle, to sporo już na ten temat było) egzystuje jego przeciwieństwo czyli styl... nieco męski.

Owa męskość niekoniecznie na fakcie założenia spodni polega, ale przede wszystkim na różnych dodatkach, które z męskiej mody są rodem. Te dodatki to: krawaty, czapki z daszkiem (tzw. oprychówki), ale przede wszystkim – męskie marynarki. No, niekoniecznie w dosłownym tego słowa znaczeniu męskie, bo na ogół na damską stronę są zapinane, ale... jeśli komuś się trafi oryginalna męska – można ją śmiało założyć bez jakichkolwiek przeróbek. Szałem zaś już największym tego stylu jest garniturowy komplet złożony z marynarki, a pod nią – kamizelki.

Marynarki pojedyncze (czyli nie należące do żadnego kompletu) szyte są z materiałów garniturowych. Dużo jest gładkich (a to dlatego, że najbardziej są praktyczne, bo do różnych innych ciuchów dobrze pasują), zdarzają się również pasiaste. Nosi się je przede wszystkim na koszulowe bluzki (jak już ma to być garniturowy zestaw, to niech nim będzie w maksymalnej ilości szczegółów!), ale można pod taką marynarkę włożyć również pulowerek. Byle nie był za mocno wydekoltowany, dobrze pod marynarkę pasuje jakiś golf. Poniżej marynarki albo spodnie (całkiem dowolne), albo spódnica. Ale jeśli spódnica, to już w charakterze bardziej sportowa być powinna, najlepiej plisowana czy z zaprasowanymi fałdami. Można również marynarkę założyć na sukienkę. I może to być sukienka nawet całkiem romantyczna w stylu. Wówczas zestaw taki gra na zasadzie kontrastu.

Jeśli komuś ten „męski styl" do gustu przypadł, a marynarki nijak zdobyć nie może (w końcu nie każda dziewczyna ma starszego brata), można go zasygnalizować także tymi drobniejszymi atrybutami-rekwizytami jak np. krawat. Mieści się w nim również taka rzecz jak... tradycyjna męska teczka (bardzo praktyczna, tyle się do niej różności zmieści!) lub męski (koniecznie czarny) parasol zamiast parasolki w ciapki. Też praktyczny – większy wszak jest od parasolki, a więc i trochę lepiej od deszczu chroni. A pod koniec września nie jest to bynajmniej sprawa bez znaczenia...

RIUSZKA

DOM MODY świata młodych
W NIECO MĘSKIM STYLU

KIJÓW LEŻY NAD... WARTĄ

Podczas wędrówek po naszym kraju spotykamy niekiedy miejscowości, które noszą nazwy „zagraniczne", czyli takie, jakie posiadają miasta i krainy znajdujące się na terenach innych państw. Jedną z nich jest Kijów. Imienniczka naddnieprzańskiego miasta i portu, stolicy Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej to wieś położona nad rzeką Wartą, na pograniczu województwa częstochowskiego i piotrkowskiego (teren dawnego powiatu radomszczańskiego). Według „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" (t. IV, Warszawa 1883) nadwarciański Kijów był w XIX wieku wsią i osadą leśną, mającą poza domami mieszkalnymi młyn i karczmę, a należał do dóbr Kruszyny.

Tu warto dodać, że „Spis miejscowości PRL" (znacznych rozmiarów księga wydana w roku 1967) wymienia obok interesującego nas Kijowa, jeszcze wieś o tej nazwie leżącą koło Nysy oraz dwa przysiółki – jeden w okolicy Chrzanowa i drugi w okolicy Przemyśla.

Podradomszczański Kijów posiada piękne okazy przyrody, a mianowicie cztery stare dęby o obwodach dochodzących do 5 m. Te potężne, kilkuwiekowe drzewa rosną przy tutejszej gajówce. Nasz Kijów, położony malowniczo w dolinie rzecznej, niedaleko Kruszyny – wsi chwalącej się cennymi siedemnastowiecznymi zabytkami renesansowo-barokowymi (pałac, park z altaną Sobieskiego i pustelnią Denhoffa, kościół parafialny), zasługuje na odwiedzenie przez krajoznawców, turystów i miłośników ojczystej przyrody, podczas ich wędrówek odbywanych po terenach Polski środkowej. Dotychczas jest on miejscowością mało znaną pod względem krajoznawczo-turystycznym i rekreacyjnym.

Tym wszystkim, którzy interesują się nazewnictwem miejscowości, winniśmy wyjaśnić, od czego pochodzi nazwa Kijów. Otóż wywodzi się ona od imienia założyciela osady – Kija. Józef Staszewski podaje w małym słowniku pt. „Pochodzenie i znaczenie nazw geograficznych" (Warszawa 1968), że pierwotnie „kij" znaczył „młot" i był przezwiskiem naczelnika rodu. Ponieważ imię Kij występuje w polskich dokumentach do roku 1256, wobec tego nadwarciańska wieś Kijów – podobnie jak i inne nasze miejscowości o tej nazwie – powstały najprawdopodobniej nie później niż w XIII stuleciu.

HENRYK SZUBERT

Rozwój kosmonautyki wyłonił nowe problemy prawne np. suwerenności obszaru powietrznego rozciągającego się nad terytorium danego państwa. Jak wysoko ma ona sięgać, aby nie utrudniać swobodnego poruszania się aparatów kosmicznych? Jak do tej pory w sprawie tej nie ma jednolitych ustaleń. O propozycjach suwerenności obszaru powietrznego pisze dziś Natalia Balon. Również dziś powracamy do publikowanych wcześniej wypowiedzi o tajemniczych Foo-fighters. Mam nadzieję, że przytoczona przez Pawła Kantorka relacja sprawę tę w znacznym stopniu wyjaśnia.

PREZES

PRAWO KOSMICZNE

Z zagadnieniem prawa kosmicznego wiązały się i wiążą rozmaite projekty. Najsłynniejszy i chyba najlepiej sformułowany jest projekt A.G. Haley'a, prawnika amerykańskiego i prezesa International Federation Astronautics, czyli Międzynarodowej Federacji Astronautycznej.

Uważa on, że suwerenność poszczególnych państw rozciągać się powinna na przestrzeń ponad terytorium tego państwa tylko do określonej wysokości. Haley określa górną granicę na 80 km, ale będzie ona wg niego mogła być zmieniona. Uwzględnia przy tym:

1) praktyczny zanik areodynamicznej siły nośnej,
2) ewentualną niemożliwość zastosowania powietrznych silników odrzutowych,
3) istnienie niebezpieczeństwa zderzeń z meteorytami,
4) zasadniczo nowe warunki ratowania załogi w przypadku awarii,
5) nowe wymogi ratowania samego aparatu latającego.

Górną granicę suwerenności powinna jednak określić Organizacja Narodów Zjednoczonych, zaś normy prawne – międzynarodowa organizacja lotnictwa cywilnego, kontrolująca w skali międzynarodowej przestrzeganie tych norm, a jednocześnie prowadziłaby ewidencję lotów w obszar międzynarodowy. Według A. Halley'a żaden kraj nie powinien mieć wyłącznego prawa, w przestrzeni kosmicznej, a loty międzyplanetarne winny być realizowane w oparciu o międzynarodową współpracę.

Pozytywnie w tej sprawie wypowiedział się w ostatnich latach Związek Radziecki. Uczeni radzieccy, jak i większość astronomów-prawników z innych krajów, są zdania, że żaden kraj nie może protestować przeciwko przelotowi ponad jego terytorium sztucznego satelity czy rakiety, o ile tylko ich celem jest uzyskanie danych naukowych, przekazanych wszystkim krajom Ziemi.

Niestety, nie jest to kwestia łatwa, podlega wciąż dyskusji w MFA i ONZ.

Natalia Balon (14 l.)
ul. J. Kusocińskiego 25
37-464 St. Wola

P.S. Korzystałam częściowo z „Astronautyki" M. Subotowicza. Polecam wszystkim tę interesującą książkę, a szczególnie zaawansowanym „tomikarzom".

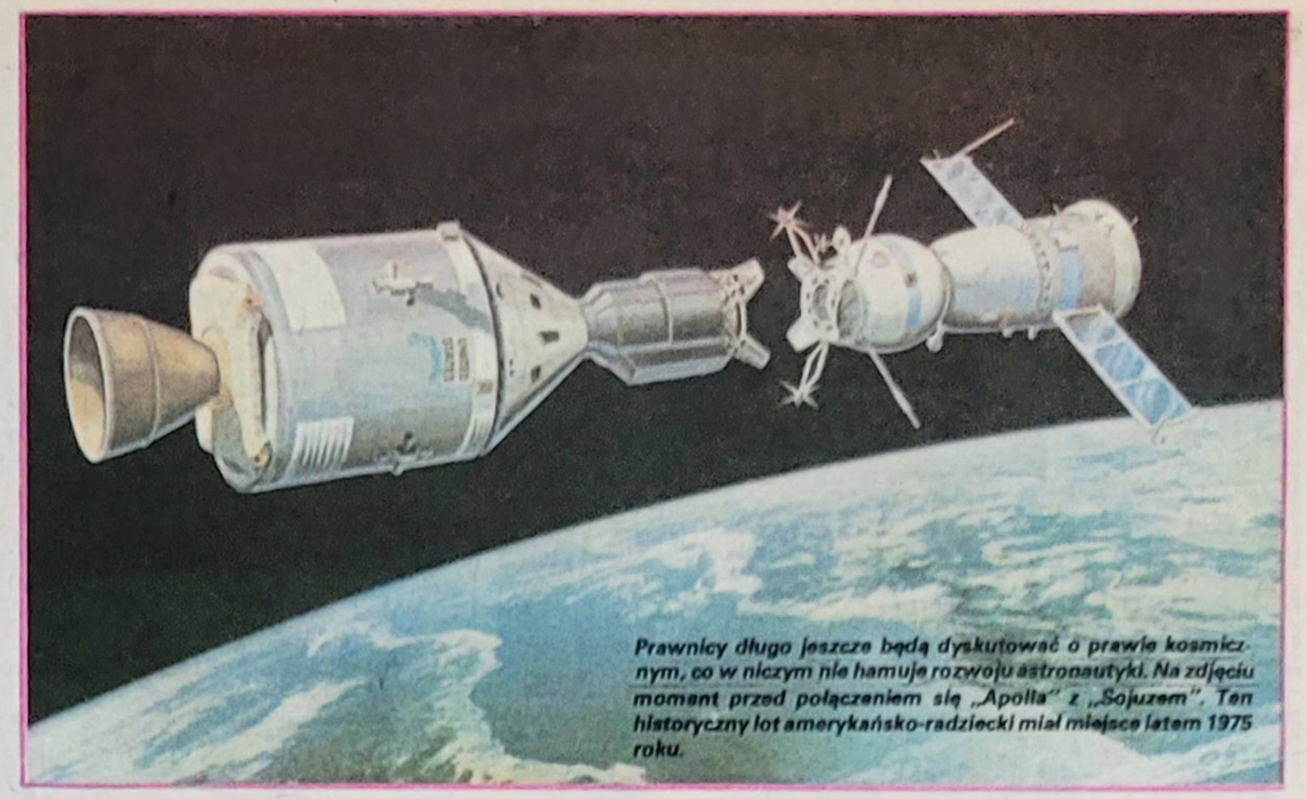

Prawnicy długo jeszcze będą dyskutować o prawie kosmicznym, co w niczym nie hamuje rozwoju astronautyki. Na zdjęciu moment przed połączeniem się „Apolla" z „Sojuzem". Ten historyczny lot amerykańsko-radziecki miał miejsce latem 1975 roku.

FOO-FIGHTERS raz jeszcze

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł pt. „NOL pochodzenia ziemskiego" („SM" nr 88 z dn. 28.08.1981 r.). Podobnie jak Pan i jak kol. Jarosław Patrzałek dość sceptycznie odniosłem się do zamieszczonych w nim informacji. Nie negują jednak całkowicie ich wartości gdyż historia nadal jest pełna tajemnic, a już szczególnie historia II wojny światowej przynosi ich całe mnóstwo. Czym mogły więc być owe osławione „foo-fighters"? Tajną bronią Niemiec i Wlk. Brytanii, statkami „małych zielonych" czy... piorunami kulistymi? Tę ostatnią hipotezę wydaje się potwierdzać zamieszczony w tygodniku „Skrzydlata Polska" (nr 29 z dn. 19.07.1981 r., str. 8–9) artykuł dr. inż. Andrzeja Morksa „Piorun kulisty w samolocie". Pozwolę tu sobie przytoczyć jego obszerny fragment dotyczący interesującej nas kwestii:

„Spotkanie z piorunami kulistymi miewali też lotnicy wojskowi. Bywały one częste w okresie wojny, a zdarzały się pilotom obu walczących stron. Miewały one miejsce na wszystkich teatrach działań wojennych, niemal na całym globie ziemskim. Lotnicy obu stron skłonni byli traktować pioruny kuliste za nową – tajną broń przeciwnika. Piloci alianccy nazywali je nawet... „myśliwcami widmami", przy czym zaobserwowali, że pojawiają się one zwłaszcza pod lub nad chmurami. A oto kilka relacji: „Leciałem 10 sierpnia 1944 roku z Cejlonu. Było krótko po północy. W szyku znajdowało się 50 samolotów lecących w 2–3 minutowych odstępach czasu. Leciałem jako ostatni. Ponad samolotem była zwarta warstwa chmur, pod samolotem – pojedyncze obłoki. Lot odbywał się na wysokości 5000 m z prędkością 330 km/h. W pewnej chwili drugi pilot i prawy strzelec zameldowali o pojawieniu się, w odległości 500 m od prawego skrzydła, jasnej kuli ognistej o średnicy 1,5–2 m. świecącej czerwono-pomarańczowym światłem. Wydawało się, że posiada ona otoczkę i wibruje. Strzelec donosił, że zniża się ona w kierunku eskadry. Odniosłem wrażenie, że kula jest zdalnie sterowana przez radio, toteż ostro skręciłem w lewo o 90° i zniżyłem się na 700 m. Kula podążyła jednak za nami, utrzymując się w stałej odległości 500 m przez ok. 8 min., po czym ostro skręciła i zniknęła w obłokach.

Dowódca amerykańskiej „latającej fortecy" (B-17) pilotował swą maszynę nad Oceanem Spokojnym o godzinie drugiej w nocy na wysokości od 2000 do 3000 m, pod zwartą powłoką chmur. Widoczność była dobra i sięgała 20 km. Nagle z lewej strony, nieco z tyłu pojawiła się żółta pulsująca kula ognista. Pilot odniósł wrażenie, że wykonuje ona „manewr bojowy", zabronił jednak otwierania do niej ognia, gdyż liczył, że przeciwnik przeoczy jego maszynę. Kula ognista miała średnicę 1,2–1,5 m i przybliżała się na odległość ok. 30 m. Pilot zwiększył obroty silników do maksymalnych i zaczął wykonywać uniki, ale kula ognista utrzymywała się za lewym skrzydłem samolotu. Po 3–4 min. wyskoczyła jednak do przodu i... zniknęła. Swym wyglądem przypominała płomień wylotowy z silnika odrzutowego, ale w 1945 r. samolotów odrzutowych nad Oceanem Spokojnym jeszcze nie było.

Na szczególną wzmiankę zasługuje tragiczna katastrofa wojskowego samolotu odrzutowego pilotowanego przez kapitana Thomasa Mantella. Wystartował on 7 stycznia 1948 r. z bazy Godman w stanie Kentucky w pościg za niezidentyfikowanym obiektem latającym wyglądającym jak „latający talerz". A oto jego relacja radiowa. „Idę na zbliżenie, aby lepiej rozpoznać. Leci prosto przede mną, dwa razy wolniej. Wygląda jak wykonany z metalu, jest ogromny i leci tak prędko jak ja – 360 mil na godzinę... Ma wysokość 20 000 stóp... Jeżeli nie dogonię, zawracam". Na tym łączność się urwała, w jakiś czas później odnaleziono koło Fortu Knox doszczętnie rozbity samolot. Pilot zginął. Zwolennicy istnienia „latających talerzy" uważają, że kapitan Mantell został „zestrzelony" przez „latający talerz". Bardziej sceptycznie nastawieni uważają, że Mantell ścigał miraż, a katastrofę wywołała utrata przytomności z braku tlenu na dużej wysokości. Są jednak też tacy, którzy wyrażają przypuszczenie, że lotnik ścigał... piorun kulisty. Można jednak zapytać dlaczego takie spotkania nie zdarzały się przed wojną? Wydaje się, że wyjaśnienie jest bardzo proste. W czasie wojny ruch w powietrzu bardzo się nasilił, przy czym surowe reguły walki w powietrzu zmusiły do lotów w każdych warunkach – w tym w chmurach (także w chmurach burzowych). Jednocześnie bardzo zwiększyły się rozmiary i prędkość samolotów, a tym samym i intensywność ich elektryzowania się w czasie lotu. Otóż według jednej z teorii obserwowane przez pilotów kule ogniste były generowane przez same samoloty, toteż nic dziwnego, że uparcie trzymały się w ich pobliżu bez względu na manewry wykonywane przez pilotów. Można tu np. zwrócić uwagę, że za końcówkami skrzydeł samolotu powstają silne wiry powietrzne o średnicy 1–2 m utrzymujące się przez wiele minut po przelocie samolotu. W tym też miejscu następuje najintensywniejszy spływ ładunków elektrycznych z samolotu (toteż tutaj umieszcza się na skrzydłach końcówki odgromowe). Nie jest więc wykluczone, że może to sprzyjać tworzeniu się piorunów kulistych. Niektórzy badacze posuwają się nawet do przypuszczeń, że pioruny te spadają następnie na ziemię i są na niej obserwowane".

Tyle „Skrzydlata Polska". Wydaje mi się, że tajemnicę „foo-fighters" mamy już w pewnym sensie rozwiązaną.

Paweł Kantorek
ul. Siennicka 23 m 22, 04-393 Warszawa

– Niewielkie.
– Moim zdaniem spore – powiedział cicho ojciec Piotra.
– I bocznica jeszcze by się przydała – to mój ojciec.
– Przypadki chodzą po ludziach – szepnęła fioletowa, ale nikt jej nie odpowiedział.

Zapanowało milczenie. Ktoś wstał, trzasnęły drzwiczki lodówki. Potem Smarkul powiedział, że dostał jeszcze jedną colę, bo ojciec Piotra pamiętał o nim. Smarkul miał bezpłatne przedstawienie i jeszcze poczęstunek. Potem często wspominał tę scenę.

– Wszyscy trzymali twarz – mówił. – Rozumiesz. Poker po prostu. Mama Piotra jak księżniczka. Ojciec zły. Ojciec Piotra trochę się pocił, a jak mi dawał colę, to wyjął z lodówki wódkę. I najpierw sam się napił, a potem poczęstował innych. A matka Piotra nawet okiem nie mrugnęła. I odezwała się dopiero wtedy, kiedy on pił czwarty kieliszek. I to duży. I od razu. Czuło się napięcie – mówił Smarkul – aż mrówki chodziły po skórze. Takich rzeczy nie przeżywa się co dzień. Pięknie było.

– Przypadki – powtórzyła fioletowa z nutą przestrachu w głosie. To i ja słyszałam.

Po tej uwadze wszyscy przy stole milczeli dość długo.
– Ja pana uprzedzam – powiedział ojciec.
– Wyliczenia były prawidłowe.
– Ale bez zapasu.
– Bez – przytaknął ojciec Piotra i nagle wybuchnął. – Nie było czasu. I oni przysięgali, że nie dopuszczą do takiego wysokiego stanu wody.

– Wał stanął dwa miesiące przed rozpoczęciem napełniania zbiornika. Był czas.

– Nie miałem ludzi. I oni obiecali. Woda nie powinna...
– Ale przyszła – przerwał mu mój ojciec.

Matka Piotra coś mruknęła, wyglądało to tak, jakby w ostatniej chwili zdołała zapanować nad wyrywającymi się słowami.

– W którymś momencie poczerwieniała – opowiadał Smarkul – i zobaczyłam, jak jej ręce latają. Ale nic nie zrobiła. Siedziała cała czerwona i nic nie zrobiła – westchnął. – To było wtedy, jak rodzice Róży znów chcieli wyjść.

Słyszałam to, znów odsuwane krzesła i zdania, że pora iść i dziękujemy, a wtedy matka Piotra powiedziała:

– Państwo zostaną. Może potrzebni będą świadkowie. To, co mówi ten człowiek, jest pomówieniem.

A przecież mój ojciec jeszcze nic nie powiedział, to znaczy nie sformułował oskarżeń. Wtedy zobaczyłem wlepione we mnie oczy Róży. Nie wiedziałam, że tak go nazywają, dowiedziałam się później. Patrzył jakby z lękiem, ale to nie był przestrach, to było tak, jakby mi mówił, że nigdy by się nie spodziewał czegoś takiego. Że ktoś może przyjść i sugerować winę ojcu Piotra. Nie, że ktoś – że ktoś mniej ważny od ojca Piotra może go atakować. Nie, że może – że się ośmiela. Wzruszyłam ramionami. Piotr ciągle pokazywał nam plecy, nie ruszał się.

– Ja tylko chcę się dowiedzieć, co pan z tym zrobi – powiedział mój ojciec. – Nie oskarżam pana. Na razie – dodał szybko. – Ale to się stało. Są straty. Ludzie byli w niebezpieczeństwie...

– Chodzi panu o córeczkę – wtrąciła szybko matka Piotra. – Osobisty interes...

– O córkę też. Oczywiście – powiedział mój ojciec. – Każdy mógł być na jej miejscu. Kładki też nie zdążyło się obliczyć?

– Kto mógł przewidzieć – mruknął ojciec Piotra – że woda się przerwie.

– A pan tak tylko, nie było czasu, kto mógł przewidzieć, przysięgali... – ojciec musiał się chyba uśmiechać. – No i wypadek gütowy. Prawie katastrofa.

– Ja jestem kryty – wypalił ojciec Piotra, a jego żona jednocześnie, ostrzegawczo zawołała:

– Antoni!

– Nie wątpię – mruknął mój ojciec. I po chwili: – Ma pan już kogoś, kto za to zapłaci? Kozła ofiarnego?

Nie słyszałam odpowiedzi, bo w tej samej chwili Piotr odwrócił się, zrobił dwa kroki i stanął obok mnie, a jego ręka chwyciła za rękaw mojej bluzki i zaczęła mnie ciągnąć, a on szeptał, nie patrząc na mnie, jakby wyrzucał, uprzątał ze swego domu nieczystości:

– Wynocha. Wynocha.

Cdn.

SOS dla PLANETY

STRESZCZENIE: Ćwierci terytorium każdego państwa żąda tajemniczy (ciągle!) NISZCZYCIEL, który chce zawładnąć Ziemią. Zwołaną w tej sprawie konferencję międzynarodową przerywa incydent: w kieszeni LUC ORIENTA, bohatera komiksu, spala się kawałek dziwnej powłoki balonowej. NISZCZYCIEL grozi, że zniszczy nowy obiekt na Ziemi. Tym razem – coś poważniejszego. Na Statule Wolności w Nowym Jorku zawisa czerwony balonik...

V

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ: we wtorki, czwartki i soboty.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (z-ca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekr. redakcji)

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48 Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne **Piotr Bieżański**

Opracowanie techniczne **Jerzy Rusak**

Nakł. 395 000

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 3906/G. Z-46

UŚMIECH NUMERU

– CIOCIU – pyta mały Wojtuś – czy wetknęłabyś nos do gniazda os?

– Co ty wygadujesz, Wojtusiu?

– Bo tata mówił, że ty wszędzie wtykasz nos...

★

LEKARZ: – A więc mówicie, dziadku, że macie bolesne rwania w lewym kolanie? To po prostu starość...

Dziadek: – Prawe kolano mam w tym samym wieku, a nie boli!

Przeszkadzamy – powiedział mój ojciec.

– Nie szkodzi, nie szkodzi – zawołał ojciec Piotra trochę zbyt energicznie, przecisnął się za plecami swej żony, mimochodem dotykając jej karku krótkimi, białymi palcami, cofnęła się wówczas, i wskazał kolejne drzwi:

– Tam będziemy swobodni.

Wówczas fioletowa zaczęła się podnosić, jej mąż gwałtownie spróbował zrobić to samo, bo to był jej mąż, mężczyzna w garniturze, stół zadrżał, z jakiejś filiżanki wylało się trochę kawy, a jednocześnie matka Piotra gestami wyraziła ostateczne zniechęcenie i zupełnie szczerze pokazała, że nikogo nie wini za poplamienie obrusa, choć go jednak szkoda, i powiedziała, że przecież chyba nie ma żadnych tajemnic, a pan, mój ojciec, na pewno napije się trochę kawy, chłopcy ustąpią miejsca, mają koleżankę, koleżanki, poprawiła się, spoglądając rybim okiem na Smarkula i na mnie, i wyławiając spoza siebie niewidoczną do tej pory różową dziewczynkę, dziewczynkę jak z obrazka, która krzyknęła, że chce siedzieć przy stole, bo zawsze siedzi przy stole.

Ojciec zatrzymał się i chyba na chwilę uległ panice, popatrzył na ojca Piotra, który w takt okrzyków swojej żony: Antoni, Antoni, podaj panu krzesło, Antoni – zaczął się natychmiast krzątać i mówić, że tak, tak, nie mają tajemnic.

Smarkul spokojnie pociągał swoją coca-colę i bacznie obserwował, co się dzieje. Powolutku, nieznacznie przestawiając stopy, posunął się w kąt pokoju, gdzie czekała już jakby tylko na niego kanapa – i udawał, że go nie ma.

Piotr nie patrzył na mnie, ale znalazł się blisko, i pociągnął za sobą towarzysza, którego twarz poznałam teraz, chodził z Pjotrem do tej samej klasy, manewrował chłopakiem tak, by oddzielić się nim ode mnie. Wyszłam po swoją coca-colę do tego przedpokoju czy pierwszego pokoju, usiadłam na ławie, nikt się mną nie zajmował, i przygotowałam się do czekania, a wtedy za mną przyszedł ten chłopak, umieścił się obok.

– Paweł – powiedział i zaczął na mnie tak patrzeć, że musiałam podać swoje imię.

– Wasi rodzice się przyjaźnią? – spytał z zainteresowaniem.

Zaprzeczyłam.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w sąsiednim pokoju zaczęli głośno rozmawiać, więc się rozmyślił i oparłszy o ścianę przymknął oczy. Piotr stał w drzwiach, plecami do nas, bo i jego w pół kroku zatrzymała rozmowa.

Mój ojciec mówił o powodzi, która nas zawróciła z drogi, wspomniał o drugim wale, który też budowało przedsiębiorstwo kierowane przez ojca Piotra, a ojciec Piotra odparł, że o tamten wał jest spokojny, tamten nie puści nawet wtedy, kiedy woda dojdzie do jego korony.

– To dobrze – powiedział mój ojciec i umilkł, a fioletowo-garniturowe małżeństwo wybąkało kilka słów o nieszczęściu, że tyle nieszczęść, a przecież budowali tamę. Ale szybko przestali mówić, bo odezwała się matka Piotra. Że istnieją przypadki, których się nie da przewidzieć. I jak Antoni mówi, że tamten wał nie puści, to nie puści.

– Gdyby puścił – powiedział mój ojciec – woda odcięłaby drogę do budowanych bloków. I tak już straciliśmy bocznicę. Może by zalała nawet ulicę poniżej.

– Ta bocznica – powiedziała matka Piotra – przecież już nie była potrzebna.

– Magazynów nie opróżniono do końca – powiedział mój ojciec. – Są straty.

Dokończenie na str. 7